Irena SŁAWIŃSKA

MY I ONI W POLSKIEJ LITERATURZE ŁAGROWEJ

Refleksja objęta tym tytułem (My i oni) włącza się w temat sesji, zorganizowanej przed kilku już laty przez Uniwersytet Warszawski, z inicjatywy i trudem Krzysztofa Byrskiego. „Literatura łagrowa" to naturalnie nie relacje powstałe w łagrach, ale piśmiennictwo wspomnieniowe, już z pewnym dystansem do przeżytej rzeczywistości[1]. Zespół to ogromnie już bogaty: zrazu publikowany tylko w Paryżu czy Londynie i przemycany do Polski, potem już – w kraju podpolnie i wreszcie jawnie udostępniany. Refleksja moja nie obejmie oczywiście wszystkich tekstów, a nawet do takiej pełni nie zmierza: pragnę odnotować zjawiska szczególnie znamienne, poparte najdłuższym doświadczeniem „zeków"[2], więc ludzi, którym na zesłaniu (w obozach, w kołchozach czy na tzw. „woli"[3]), wypadło spędzić wiele lat – „wysze czerwońca"[4]. Zresztą relacje pisarzy (J. Czapskiego, G. Herlinga-Grudzińskiego) są już od dawna znane i tłumaczone na wiele języków.

Pytanie, nad którym pragnę się pochylić, brzmi: jak się kształtował ethos ludzi skazanych na tak szczególne doświadczenie? Czy uznali, że uwalnia ich ono od wymogów etyki, poprzednio – czy poza kręgiem „nieludzkiego świata" – obowiązującej? Czy próbowali zrozumieć swoje zadanie (powołanie) wśród struktur zła?

Pytania te kieruję do ludzi świeckich, jakkolwiek „wysze czerwońca" spędzili tam przede wszystkim księża, często (albo przeważnie) dobrowolnie podejmując decyzje pozostania na „nieludzkiej ziemi", by ratować ludzi od rozpaczy i degradacji. Siły zła na nich przecież kierowały swe ostrze; oni też najbardziej świadomie obcowali z tajemnicą Zła.

Nie martyrologiczne aspekty są tu jednak najważniejsze, ale właśnie – odpowiedź człowieka. Zakres tej odpowiedzi bywa różny: czasem dotyczy tylko indywidualnej próby zachowania podstawowej „przyzwoitości" („warto być przyzwoitym" – jak głosi w tytule autobiografia W. Bartoszewskiego) – jednak potrafi się wznieść aż do poczu-

[1] Pozycje opublikowane przed 1983 rokiem rejestruje Henryk Siewierski, *Spotkanie narodów*, Paryż 1984. Spośród wcześniejszych pozycji odwołujemy się do: G. Herling-Grudziński., *Inny świat*, Paryż 1962; J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Paryż 1949; B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Rzym 1946; A. Wat, *Mój wiek*, t. I-II, Londyn 1977.

Wykorzystane zostały pozycje opublikowane po 1984 roku: O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze, Rozmowy z Jackiem Trznadlem*, Londyn 1984; F. Kraśniewska [Barbara Skarga], *Po wyzwoleniu*, Paryż 1985; A. Popławski, *12 lat łagru*, Paryż 1987; G. Lipińska, *Jeśli zapomnę o nich...*, Paryż 1988; L. Agrest [L. Łoś], *Drugi brzeg Oki*, Paryż 1989.

[2] Tzn. więźniów.

[3] Tzn. niby na wolności.

[4] Tzn. powyżej dziesięciu lat wyroku na katorgę.

cia odpowiedzialności za każdego człowieka. Wówczas oczywiście kategorie „my i oni" zostają unieważnione.

Wróćmy jednak do tych kategorii. Dlaczego w najwcześniejszej fazie, tj. w relacjach ludzi, którzy wydostali się już z Andersem, podział na „my – oni" jest najostrzejszy, najwyrazistszy? Czy trzeba dopiero długich lat wspólnej niedoli, by znaleźć drogę do każdego człowieka? Czy może ludziom wychowanym w świecie hierarchii społecznej trudno było od razu to z siebie strząsnąć, gdy narzucono im inną hierarchię, okrutną i absurdalną?

To rozróżnienie „my i oni" ma zresztą różne rejestry: narodowościowe, społeczne („klasowe"). Może ono dzielić ludzi na inteligentów, intelektualistów i prostaków; na władze obozowe i podwładnych im zeków; na świat nieludzkiego totalitaryzmu sowieckiego i świat Zachodu, czyli świat „ludzki", wolny, gdzie obowiązuje czy może obowiązywać „normatywna" etyka. A wśród zeków: są tam przecież „stukacze", „donoszczyki"[5], a także „urki"[6], podlegli tylko własnej etyce przestępczej, straszni także dla władz obozowych.

Sztywne formy życia obozowego implikują nieustanną weryfikację tych kategorii: wspólna prycza, miska jadła, rozdawnictwo, wspólna praca, wymarsz za zonę, nieustanne „prowierki"[7], jakieś koleżeństwo czy nawet związki uczuciowe. Wszystko to sprawia, że ze szczególną ostrością sprawdza się tu adagio J. Lieberta: „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszą".

Rozmiar mojej wypowiedzi zmusza do eliminacji i skrótów. Przybliżę więc tylko parę spraw. Najpierw współżycie narodów, „Polaków obraz własny" – i obraz innych narodowości.

Najgrubsza kreska, odcinająca nas, Polaków, a ściślej – inteligencję czy ziemiaństwo polskie od „rosyjskiego śmiecia", pojawia się u Beaty Obertyńskiej (*W domu niewoli*). Wstręt budzą w niej nieletnie prostytutki i inne, „pozornie tylko ludzkie stworzenia", „dzikie dziewczęta z Zakarpacia", „wspaniały materiał do łagrów". H. Siewierski widzi tu tylko reakcję „na przymus narzuconego siłą obcowania stłoczonych ciał" – ale scripta manent. B. Obertyńska potrafi ocenić wysoką etykę Uzbeków – opinię tę podzielają wszyscy autorzy relacji, obejmując nią także inne ludy Północy (np. Jakutów). Niektórzy skrupulatnie odnotowują wszelkie odruchy dobra doznane ze strony Kazachów, Rosjan i innych współtowarzyszy niedoli. Niemal wszyscy też składają hołd ofiarności i odwadze lekarzy obozowych.

Szczególnie trudne są kontakty z Ukraińcami czy Litwinami dla Polaków spod Lwowa czy z Wileńszczyzny. Ci ostatni pamiętają przecież pobyt w więzieniach za czasów Smetonowskich (dziewczynki po strajku szkolnym spędziły srogą zimę na Łukiszkach); udział szaulisów – „strzelców ponarskich" – a jednak autorka książki *Po wyzwoleniu* Barbara Skarga (pseudonim F. Kraśniewska) pisze z czułością o swojej przyjaźni obozowej z „miłą panią Łastienie", a A. Popławski – jedyny Polak z kilkoma Litwinami w celi

[5] Tzn. donosiciele celowo umieszczani między więźniami lub werbowani spośród więźniów.

[6] Tzn. świat przestępczy (państwo w państwie).

[7] Tzn. rewizje.

śledczej na Ofiarnej – wiąże się z nimi czymś silniejszym niż koleżeństwo wspólnej niedoli.

Szczególnie częsty jest motyw Ukraińców: pełno ich w więzieniach, w obozach i na Kołymie („co drugi człowiek na Kołymie to Ukrainiec"). Snują się wciąż po obozach opowieści o rozstrzelaniu dwóch tysięcy uczestników ostatniej manifestacji w Kijowie, o eksterminacji lat trzydziestych – sztucznym głodzie, który zabił kilka milionów ludzi. Ten ogrom cierpienia narodu każe umilknąć urazom. Przemianie takiej daje wyraz B. Skarga: dopiero tam dostrzega zagubiony, nieszczęśliwy naród, który ma w sobie coś ze stepowego sokoła, choć potrafi być okrutny. „Niesłychaną lojalność" Ukraińców względem Polaków stwierdza też Aleksander Wat, dorzuca jednak zaraz, że w stosunku Polaków do nich widział „przymilność albo pogardę".

Obszerna książka Grażyny Lipińskiej nosi tytuł *Jeśli zapomnę o nich...* Cytat z *Dziadów* odnieść tu chyba trzeba przede wszystkim do Białorusinów, tak bardzo los tego narodu rozdziera serce autorki. Na różne sposoby starała się ulżyć jego niedoli – wespół z prof. Wacławem Iwanowskim, zachowując jednak w pełni swoją polską tożsamość.

W kilku relacjach spotykamy wyrazy szczególnego uznania dla Finów i Estończyków. G. Lipińska pisze: „Estonki są inne, ich pojęcie honoru jest tak doskonałe, że nie każdy może je zrozumieć. W różnych sytuacjach szukamy ich rad, które są nieomylne. [...] Obcując w obozie z przedstawicielami wielu narodów, stawiam wśród nich pod względem etyki na pierwszym miejscu Estończyków, potem Finów, na trzecim Polaków" (s. 375). Aleksander Wat ma dla Polaków w obozach niemal tylko słowa potępienia... A Ola Watowa drwi ze Stefanii Skwarczyńskiej, gdy ta zachęca współtowarzyszki do dobrego wykonywania pracy w polu, z myślą o ludziach, którzy będą z tego korzystać. Drwi też ze Skwarczyńskiej, że „ta chrześcijanka" podbiera (wespół z innymi) zboże ze spichrza dla głodnych dzieci.

Dotknęliśmy tu problemu p r a c y i dwóch opozycyjnych koncepcji: bojkot jako protest i próba oszczędzania własnych sił i decyzja na sumienną, dobrą robotę. Tę drugą koncepcję realizuje B. Skarga, gdy jej brygadzie powierzono odpowiedzialność za cegielnię. Oddajmy jej głos: „Gdy dziś patrzę wstecz, przypominam sobie, z jaką autentyczną dumą dziewczęta patrzyły na wyniki produkcji, na fabrykę uporządkowaną, czystą, która w momencie, gdy ją poznawały, przedstawiała żałosny obraz zaniedbania. [...] Wiem, że ta duma płynęła z poczucia wyższości w stosunku do tych, co nami rządzili. W tej pracy, która miała nas zniewolić i poniżyć, odnajdywałyśmy siebie, wiarę we własne siły i co więcej – podziw ciemiężycieli. Można mówić «nie» w rozmaity sposób [...] Można jednak było [...] uznać pracę za swoją. To było także «nie» wypowiedziane tym, co chcieli w nas widzieć tylko pociągowe zwierzęta [...]. Pozbawieni głosu i możności protestu, walczyliśmy o to, by pozostać ludźmi, a ludzie wiedzą, co to jest uczciwość, rzetelność, radość, gdy się dzieło uda. Mieliśmy wszakże tylko pracę, nic więcej" (s. 117).

Podobną postawę dzielą z autorką A. Popławski i L. Łoś (pseudonim L. Agrest). Ten ostatni nieustannie dąży

do tego, by się czegoś nauczyć, nawet od ciemiężycieli. Wszyscy autorzy relacji dostrzegają ze zgrozą niedbalstwo, bylejakość, straszliwe marnotrawstwo (zboża, kartofli, materiałów, które należy raczej zniszczyć, niż rozdać czy sprzedać). Te zjawiska – wspólne całemu Związkowi! – niemal zmuszają do kradzieży.

W najbardziej problemowej publikacji wspomnieniowej (B. Skargi) osobny rozdział poświęcono też sprawom m i ł o ś c i. Już u Norwida spotkamy myśl, że stosunek do sztuki i miłości – to kryteria kultury (i etyki – dodajmy). Homo sovieticus traktuje miłość jako prostą potrzebę fizjologiczną („jak pójście do wygódki"), której ewentualne konsekwencje należy szybko usunąć. Ale aborcja jest w obozach zakazana – bynajmniej nie dlatego, że to zabójstwo: dzieci urodzone w więzieniach i obozach trafiają do „dietdomów", są własnością państwa, in spe – siłą roboczą czy mięsem armatnim. Pomoc w tzw. zabiegu, czyli uśmierceniu nienarodzonego, nawet niektóre Polki uważały za konieczność i czyn etycznie pozytywny – by ocalić te dzieci od strasznego losu. Okazało się jednak, że i tam istniała możliwość innego ocalenia: przyjęcie przez rodziny!

Istnieje wprawdzie tak wzruszające zjawisko jak „Dom Svidanji", pięknie opisany przez Herlinga-Grudzińskiego, ale na ogół prawdziwa miłość jest nie tylko podejrzana, ale wyklęta, karalna. Czy to zaskakujące, paradoksalne? Bynajmniej! I oni – tak, „oni" – czują, że w głębokim i prawdziwym związku dwojga ludzi kiełkuje obietnica wolności, a więc zagrożenie dla systemu zniewolenia. Stąd odruchowa niemal decyzja na rozłączenie, rozbicie takiego związku. Każde z dwojga pójdzie na inny „etap".

Wymknął się tu termin „oni", jak gdyby w moim imieniu. Tak, wydaje się, że jednak – aż do końca! – trwał jakiś przedział, „a great divorce", pomiędzy zniewolonymi – zniewalającymi innych, a tymi, którzy do końca bronili swojej wolności i nigdy nie zgodzili się na uczestnictwo w kłamstwie. Gdyż największe zło wyrasta z tego właśnie korzenia: z k ł a m s t w a. Cyniczne, zbrodnicze – gdy obiecuje np. wolność za cenę ujawnienia członków konspiracji, za denuncjację, a czasem na pozór niewinne, gdy można za nie uzyskać większą pajdkę chleba czy parodniowy odpoczynek w szpitalu. Ale i przed takim kłamstwem cofa się autor bardzo pięknej relacji – Adolf Popławski.

Warto się przy nim zatrzymać. Wilnianin, kolega szkolny S. Stommy, A. Gołubiewa, Cz. Zgorzelskiego z Gimnazjum Zygmunta Augusta, wychowanek rygoryzmu ks. Chomskiego (jak później Miłosz), absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego, potem w AK i Delegaturze Rządu – aresztowany i osadzony w więzieniu w 1945 roku (po „wyzwoleniu" – jak i Barbara Skarga), przewędrował wiele obozów, by wreszcie osiąść na Kołymie. Do Gdańska trafił w końcu 1956 roku, już po śmierci rodziców, którym nie dane było zobaczyć żadnego z sześciu synów. Zwięzły schemat losu rodziny kresowej.

Kłamstwo reżimu przybiera nieraz formy kunsztownej inscenizacji. W kilku relacjach pojawia się opowieść o Żydach kowieńskich czy wileńskich, którym zaproponowano (za ciężkie dolary) wyjazd do Palestyny. Wsadzono ich do samolotu na lotnisku i po dwóch godzinach lotu oświadczono, że samolot musi lądować. Na tym samym lotnisku, z którego odlecieli, czekał już

„czornyj woron", by zabrać zrozpaczonych do więzienia, a potem do łagru.

Nie zawsze inscenizacja była aż tak spektakularna, ale odmowa udziału w grze (np. w wyborach) była zawsze bardzo niebezpieczna. Posłuchajmy Barbary Skargi: „Jak wiele trzeba mieć śmiałości, jak wiele hartu, by sceny walić, palić dekoracje, z aktorów zdzierać kostiumy i maski! Jaką odwagą jest odmowa uczestnictwa w grze! I jak piękną rzeczą, że na ową walkę z teatrem zdobyli się najbardziej poniżeni, te biedne zeki! [...] Malutki płomień wolności zaczynał się tlić w obozach, by w niektórych zapłonąć całym blaskiem" (s. 191).

Na akt niezwykłej odwagi zdobywa się Adolf Popławski w rozmowie z naczelnikiem obozu. Odmawia rysowania karykatur politycznych, czego od niego – jako artysty plastyka – wymagają. Naczelnik namawia: „Patrz, ja przecież jestem z pochodzenia Polakiem, nazywam się Kazimierz (może Stanisław) Kwiatkowski, a jednak służę władzy sowieckiej. Czy przez to jestem zdrajcą ojczyzny? – Jeżeli uważacie się za Polaka, a służycie Związkowi Sowieckiemu, w takim razie, uważam, że zdradzacie ojczyznę – odpowiedziałem" (s. 152).

Tym razem dialog ten nie ma konsekwencji, na które przygotował się Popławski. Jednak za następny akt odwagi i odmowę milczenia musi drogo zapłacić: przedłużeniem katorgi, wyłączeniem z amnestii.

Rzecz dzieje się w sądzie obozowym, wiosną 1955 roku. Najpierw słucha Popławski pokajania poprzedników: „Ludzie, których nieraz słyszałem, jak przeklinali Związek Sowiecki, teraz błogosławili jego dobroć i kajali się z powodu swego dawnego zaślepienia". Pada pod adresem Popławskiego zarzut zdrady ojczyzny. „Ojczyzny? – odpowiada Popławski Ależ ja nigdy nie zdradzałem Polski i wcale nie byłem o to oskarżony!" – Wybuch wściekłości sędziego: „Jakiej Polski? Jesteś sowieckim obywatelem i Związek Sowiecki jest twoją ojczyzną". Popławski odpowiada! „O ile wiem, nowe granice ustala się po zakończeniu wojny, a zajmowanie ziem przez inne państwa podczas wojny nazywa się okupacją i Wilno podczas tej wojny kilkakrotnie było okupowane". Tu prokurator nie wytrzymał. „Słyszycie – krzyczał – on nasze rządy nazywa okupacją – i my go mamy uwolnić? Odrzucić jego sprawę!" Katorga przedłuża się o przeszło rok.

Pierwsza reakcja kolegów – współwięźniów to oburzenie, drwiny. Ale potem ten i ów (Ukraińcy!) szepcze wyrazy uznania: rozchodzą się kręgi podziwu, a nawet jakby zazdrości: odważył się, „maładziec"! Po obozie szerzy się coś jak dobra zaraza. A co dziwniejsze – ta dobra infekcja podziwu nie omija i władz obozowych.

Omija jednak tych, w których zniewolenie przeżarło już cały rdzeń duszy. Cóż myśleć o tych, co z uznaniem wspominają rzeź Ukraińców w Kijowie: że tak sprawnie uprzątnięto plac, zabijając dwa tysiące ludzi? Jak głęboko zniewolony musiał być lekarz, dr Takieltaub, wyrozumiały dla kopiących go „sledovatieli", a pełen pogardy dla carskich żandarmów, którzy nie bili, „bo bali się, to byli tchórze".

Proces zniewalania, który doprowadza do przyznawania się do nie popełnionych czynów, a następnie kajania się, tak podsumuje B. Skarga: „Jakże mogli milczeć albo przeczyć, skoro władza wymagała, by się przyz-

nawali? [...] Ten bowiem, kto jest wyżej, wie lepiej, a więc zapewne myliłem się, zapewne błądziłem. Tym większa moja wina, tym cięższa musi być kara". To oczywiście rekonstrukcja procesu zniewalania maluczkich, na wyższym poziomie inteligencji udział złej woli i złego sumienia musi być znacznie większy. Zresztą często nie groźba śmierci głodowej ani wyniszczenia w obozach wchodzi w grę, ale utrata kierowniczych stanowisk i przywilejów. Stąd i system samousprawiedliwień staje się bardziej „sophisticated" i bardziej zakłamany.

– Wróćmy do pytań otwierających tę refleksję – Czy jednak obowiązują w strukturach zła kryteria i wymogi „normalnej" etyki? Normalnej, tj. ogólnoludzkiej, wyrytej na tablicach kamiennych. Odpowiedzi są – jak wiadomo – bardzo zróżnicowane, często skrajnie opozycyjne. N i e – odpowiada Herling-Grudziński, choć w jakimś momencie zadrży mu głos. T a k – odpowiadają swoją relacją, a także własnym postępowaniem Adolf Popławski i Grażyna Lipińska. W każdym obozie – i w każdej, najbardziej ekstremalnej sytuacji – spotkać można ludzi, którzy to „tak" potwierdzają. To nie zawsze mniszki i duchowni, ale zawsze ludzie wewnętrznie wolni, bo podłączeni do źródła Wolności i Mocy.

Relatywistyczna etyka pozwala na zabijanie dzieci („w pewnych sytuacjach"), na kłamstwo (jeśli pożyteczne i konieczne), na spokojną obserwację degradacji człowieka (casus młodziutkiej dziewczyny w opowieści Herlinga-Grudzińskiego). Ale walka z nieludzkim okrucieństwem wymaga spojenia z nadludzką Siłą – jak notują wierzący. Tylko ona prowadzi do wolności – wyzwala z nienawiści, otwiera drogę ku innemu człowiekowi.

Szczególne zagęszczenie sytuacji, gdzie każdy gest pomocy drugiemu jest „życiem płacony", zdarza się na trakcie mohylewskim, w końcu czerwca 1941 roku. Z wielotysięcznej rzeszy więźniów, pędzonych na wschód, umundurowane opryszki wyciągają „na razstreł" najsłabszych i tych silniejszych, którzy im pomagają. A jednak – aż do końca – nie zabraknie takich pomocników. W całej literaturze łagrowej niewiele tak wstrząsających relacji i tak pięknych w swej moralnej wymowie, jak opowieść Grażyny Lipińskiej o tej drodze krzyżowej i o anonimowych bohaterach, którzy giną osłaniając innych. Spokojny, rzeczowy, wolny od patosu głos Lipińskiej wznosi się tu jednak ku wysokim rejestrom. „Zawiadamiam wszystkie matki: Polki, Litwinki, Białorusinki, że w owe dni 24, 25 i 26 czerwca 1941 roku, na trakcie mohylewskim padło z rąk Moskwy tysiące bezbronnych ich synów i córek [...] Hańba tej zbrodni na wieczność zaciąży na historii Rosji" (s. 139).

A po chwili autorka odnotuje rzeczowo próbę ocalenia umundurowanego Białorusina, próbę podjętą przez Olka Mielżyńskiego. Zamiana ubrań nie pomoże jednak: obaj zginą.

W omawianych tu relacjach nie spotkamy moralizatorskich wykładów ani pouczeń: refleksja nadbudowuje się sama nad narracją. Bo literatura ta jest naturalnie nie tylko dokumentem historycznym, i nie tylko z tego względu warta jest poznania i pamięci. Niesie dobrą wieść o sile człowieka, o jego nieugiętej wolności, o wyboistej drodze do chwili splecenia rąk w prawdzie, ale i o możliwym zwycięstwie nad strukturami zła. To lektura obowiązująca – w wielorakich rejestrach tego słowa.